



TADEUSZ  
MICHROWSKI

# OPOWIEŚCI SIEKIERKOWSKIE



TROJE MUSZKIETERÓW



### Rozdział III

# TROJE MUSZKIETERÓW

---

Po wojnie młodzi chodzili bawić się „na dechy”. do państwa Łokietków Ale ich troje było jeszcze na to za małych. Siedzieli więc za płotem i spoglądali spomiędzy sztachet jak chłopcy i dziewczęta tańczą, a inni przygrywają im skoczne kawałki. Czasem sami łapali się w tany, bo muzykę było słycać dobrze, a do szczęścia w zupełności wystarczało im własne towarzystwo.

Mieli tylko jeden problem. Ich było dwóch, a ona jedna i zawsze ktoś zostawał bez pary.

Dziewczyna była córką fornala Mateusza i Zosi. Miała na imię Agnieszka. Jej dom był jednym z niewielu na Siekierkach, gdzie po wojnie wciąż byli oboje rodziców i ojciec często chodził pomagać w obejściu tym, którzy mieli mniej szczęścia. A Agnieszka z nim.

Tak poznała Mirka i Andrzeja.

Mirka wszędzie było pełno. Zawsze miał pomysły i zawsze organizował zabawy. Dużo pomagał w domu. Kiedy ojca nie stało, on jako zaledwie kilkuletni chłopiec próbował zapanować nad koniem i zaorać pole. Był ambitny i uparty – sam nigdy nie poprosiłby o pomoc. Gdy pierwszy raz Agnieszka poszła z ojcem do jego domu, chłopiec

stał od stóp do głów pokryty błotem, przy bronie, która nie ruszyła się nawet o centymetr. Szybko się polubili.

Matka Andrzeja nie miała gospodarstwa. Należeli do tych, którzy na Siekierki zjechali niedługo przed wojną, wynajmować niewielkie klitki, bo czynsze były tu tańsze niż w centrum. Ojca zabrali Niemcy, siostry powychodziły za mąż i wyjechały, a dwóch starszych braci uciekło do lasu tak dawno, że nikt nie łudził się ich powrotem. Andrzej był chorowity i nieśmiały, ale bystry. Przychodził czasem do mamy Mirka, żeby pomóc w drobnych pracach, których było za wiele. Karmieniu zwierząt, wykopywaniu ziemniaków, noszeniu wody. Zawsze dostawał coś w zamian – a to jakieś przetwory, a to, rzadziej, trochę pieniędzy. Miał też dobrą pamięć i wiedział wiele rzeczy, którymi często zaskakiwał dorosłych. Kiedy był jeszcze za mały, żeby zostawać sam, matka niekiedy podrzucała go kuzynce, niedaleko Nazaretanek na Czerniakowskiej. Ta nauczyła go wielu rzeczy. Opowiedziała również historię o trzech nierozłącznych towarzyszach broni. Trzech muszkietierach.

Pokochali się wszyscy troje tak mocno jak tylko zdarza się, gdy trzy serca dostrzegą w sobie swoje wzajemne odbicie.

Kiedy przyszedł czas na pójście do szkoły, byli już zbratani na Amen.

Razem wpadali w kłopoty. W wieku pięciu lat bawili się z innymi dziećmi w przebieganie przed samochodami na Czerniakowskiej. Wygrywał ten, kto przebiegł najbliżej przejeżdżającego samochodu. Spośród kilkanaścioro, młodszych i starszych uczestników, nikomu nie przyszło do głowy, że może to być niebezpieczne. Zwycięstwo nie przypadło wtedy żadnemu z zadziornych czternasto-, czy piętnastolatków, którzy chodzili na „jatki” z chłopakami z Augustówki. Przypadło malutkiej Agnieszce.

Najpierw był klakson, a potem pisk opon. Kilkutonowa ciężarówka hamowała tak długo i ostro, że kiedy wreszcie się zatrzymała, kierowca a nawet stojący z boku koledzy i koleżanki byli z początku przekonani, że wszystko skończyło się tragicznie. Wstrzymali oddech, a niektórzy zamknęli nawet oczy. Dopiero po chwili zza maski samochodu wychynęła Agnieszka i goniący za nią właściciel wozu.

Wszyscy, nawet najstarsi uciekli. Ale nie Mirek i Andrzej. Zostali jej bronić, wspólnie. I wspólnie dostali lanie.

Siekierki smakowały wtedy gruszkami i jabłkami, które zrywali z parceli sąsiadów, idąc latem nad Wilanówkę. Miały w sobie kolory brudnej ziemi pól, na których

pomagali zbierać ziemniaki, by potem upiec je w ognisku. Żłoto snopów słomy, które schły w słońcu. Bordowy odcień gojących się zadrapań po zabawach i biel piasku, którym wysypywano na Wielkanoc ścieżki. Pachniały świeżym mlekiem i deszczem, który rozbijał się o rozgrzany bruk. I palonym w piecu drewnem.

Ich dzieciństwo upływało w cieniu rosnącego z gruzów miasta, powrotów ludzi dawno uznanych za straconych i kolejnych zmian zawodów ich rodziców i rodziców przyjaciół. Oraz w cieniu zagadek i starych historii, których nikt nie próbował, nie chciał odkopywać. Prawie nikt.

O człowieku znad szuwarów dowiedzieli się wracając z Czerniakowskiej, gdzie raz w tygodniu chodzili na religię. Były to ostatnie lata wielkiej odbudowy i ludzie rzadko już wozili gruz z miasta. Mimo to trojgu muszkieterów udawało się czasem załapać na któryś z wracających z Warszawy wozów.

Tym razem wziął ich Bartłomiej z synem Antkiem. Obaj byli ludźmi milczącymi o smutnych spojrzeniach mężczyzn, którzy widzieli znacznie więcej niż mieliby na to ochotę. Antek, zwany kiedyś Antosiem, miał dziewiętnaście lat, choć wyglądał na dziesięć więcej i równie poważnie się zachowywał. Jego tata, siwy i pomarszczony, sprawiał wrażenie staruszka, choć nie przekroczył jeszcze czterdziestki. Muszkieterowie byli wtedy dopiero w pierwszej klasie szkoły, która niedawno ruszyła na Siekierkach. Siedząc na tyle wozu kłócili się o duchy i zjawy, o jakich wspominała na lekcji zakonnica.

„A ja tam myślę, że nie istnieją”, upierał się Mirek. „A nawet jak istnieją, to wcale nie są takie straszne”, dodał dzielnie.

„Tak mówisz, bo żadnego nie widziałeś”, stwierdziła Agnieszka, gotowa rzucić mu wyzwanie.

„Nie bał bym się!”, krzyknął Mirek.

W tym wszystkim utonął nieśmiały głos Andrzeja, który rzucił tylko:

„Ja tam bym się bał, nawet jak nie istnieją. Lepiej tego nie sprawdzać.”

„Uciekałbyś Mirek, że by ci się nogi poplątały. A ja nie. Zakładasz się?” Agnieszka nie dawała za wygraną.

„A o co?”

„O zadanie!”

„Mówisz tak tylko dlatego, że wiesz tak samo jak ja, że ich nie ma.”

„A skąd wiesz?”

„Jak nie wierzysz, spytaj Antka. On wie na pewno.”

Antek wzdrygnął się lekko, słysząc swoje imię. Powszechnie uchodził za doświadczonego i prawdomównego. Jednego z najbardziej na Siekierkach, mimo młodego wieku.

„Antek, widziałeś kiedyś ducha?”

Chłopak obrócił się bardzo powolutku. Nie uśmiechnął się. Wszyscy w takich sytuacjach uśmiechali się do dzieci, ale mało kto z okolicy pamiętał wesołego Antka.

„Te wasze duchy, to wasze wymysły...”, westchnął. Mirek spojrzał triumfalnie na Agnieszkę, ale zrobił to nazbyt wcześnie. „Siekierki mają swoje duchy i swoje demony. Jednych da się dotknąć, innych nie.”

Długo męczyli go, co miał na myśli. Powiedział im więc o domu za wałem, niedaleko szuwarów, Starym i zniszczonym.

„Być może tego, kto tam mieszka można by nazwać duchem. Chyba tak.”

Jeszcze tego samego dnia poszli pod ten dom.

Długo przedzierali się przez chaszczce, bo nie prowadziła tam żadna wydeptana ścieżka. Tylko krzaki i szumiąca cicho trawa, targana zimnym powiewem znad Wisły.

Kiedy wreszcie ujrzeli tamten dom, nie odważyli się podejść bliżej. Długo stali, patrząc w milczeniu na ruinę. Ani Agnieszka, ani Mirek nie licytowali się już, kto jest odważniejszy. Postali tak i bez słowa zawrócili na Siekierki.

Potem dzieciaki z okolicy zainteresowały się starszą kobietą, która chodziła po okolicy i gadała do siebie, a czasem do innych też. Gadała że woła ją Wisła. Nikomu też nie zależało, żeby zaraz od razu stawać do próby odwagi. Temat domu został odsunięty na bok. Na siedem długich lat.

Niemal dokładnie tyle, ile pozostali przyjaciółmi.

Gdy mieli po lat dziesięć, przetrwali najcięższą z prób. Nigdy jednak nikomu o niej nie opowiedzieli.

Popularną podówczas zabawą była giętawka. Kiedy nadchodziła jesień, a wraz z nią mrozy, Wilanówkę skuwał lód. Z początku pojawiała się tylko cienka warstwa, ledwie przykrywająca wodę. Wytrzymała krok lub dwa, jednak jeśli człowiek zatrzymał się, zaraz pękała pod nim, wciągając pod wodę.

Oczywiście wyścigi – kto zajdzie dalej i się nie zapadnie – były ulubioną zabawą dzieci. Troje muszkieterów przodowało w niej. Działo się tak głównie za sprawą odwagi Mirka, i nieustępliwości Agnieszki. Rola Andrzeja sprowadzała się do biernego poddawania ich niebezpiecznym pomysłom.

W giętawkę nie warto było bawić się bez publiczności, w ogóle dzieci na ogół przemieszczały się chmarami, liczącymi nawet kilkanaście osób. Starszych i młodszych. Troje muszkieterów lubiło czasem uciec na ubocze. Wystarczało im rzucanie wyzwania sobie nawzajem.

Giętawka miała być kolejnym.

„Złapiemy się wszyscy troje za ręce i pobiegniemy na drugą stronę”, zrelacjonowała swój pomysł Agnieszka. Była lekka i wygrywała najczęściej, ale Mirek nie zamierzał oddawać jej pola.

„A kto pierwszy puści rękę pozostałych przegrywa, zgoda?”

„Zgoda”.

„Zgoda”.

Lód zachręścił pod ich stopami i nim wykonali trzy kroki, zaczął puszczać. Oni jednak byli już w zupełnie innym miejscu. Biegli, ścigając się z rosnącym pęknięciem, a ich śmiech niósł się w jesiennej mgle.

Pierwszy puścił Andrzej. Nie zrobił tego jednak, bo się przestraszył, ale dlatego, że zapadł się nagle pod wodę. Zniknął w niej z cichym pluskiem tak szybko, że Agnieszka i Mirek prawie to przeoczyli.

Wilanówka była raczej płytką rzeką. Miała jednak kilka głębin, pozostałości po pociskach, które wybuchły tam w czasie wojny. A Andrzej miał pecha.

Chłopiec pływał doskonale, ale ciężki kożuszek, swetry i spodnie tak mocno nasiąknęły zimną wodą, że ciężar był zbyt duży. Machał rękami, próbując wyrwać się na powierzchnię, kilkakrotnie zerwał się nad taflę wody, czuł jednak, że ma coraz mniej sił.

I powoli zaczął się z tym godzić.

Podczas ostatniego, rozpaczliwego szarpnięcia poczuł, jak ktoś łapie go za rękę.

To Mirek leżał plackiem na cieniutkim lodzie i próbował go wciągnąć na górę. Przestraszona Agnieszka nie wiedziała co robić. Chciała im pomóc, ale bała się, że jeśli podejdzie bliżej, zapadną się wszyscy troje.

Andrzej poczuł, że w miarę jak przysuwa się do Mirka, kolejne centymetry kry pękają. Zdał sobie sprawę, że kolega wpadnie razem z nim. Stanie się to po prostu kilka metrów dalej.

Lód trzasnął głośno i tym razem wpadli obaj, a Agnieszka nie bacząc na nic, wskoczyła do wody za nimi.

Tu jednak było już płytko.

Cała trójka miała przemoczone ubrania. Do późnego wieczora siedzieli u Mirka w domu i suszyli je na piecu, popijając malinowy sok.

Przeżyli razem wiele przygód, małych i dużych. Kiedy Agnieszka znalazła przy domu leżące pokotem gęsi, razem próbowali je obudzić. Gdy to się nie udało, pobiegli nawet do ojca i wykrzyczeli jedno przez drugie wieść o tragedii, zarazie jaka dotknęła zwierzęta. Potem śmiali się, gdy wyszło na jaw, że tata Agnieszki wyrzucił w tamtym miejscu odpadki po fermentacji wina, które pędził na jesień. Wszystkie gęsi były pijane w sztok i trójka dzieci zmuszona była je ocucać, jedną po drugiej.

Chodzili na łąki pod wałem, patrzeć jak robotnicy ze spółdzielni piaskarzy kładli wielkie, wznoszące się wysoko ponad dachy siekierkowskich domów zwały kry. Te lodowe góry wytrzymały aż do lata, gdy sprzedawano je, kawałek po kawałku do chłodni w mieście.

Choć w każdej zabawie, każdego dnia brało udział zawsze kilkanaścioro, a nawet więcej dzieci, tylko ich troje było aż tak zżytych. Nie tylko w zabawach, jak w chłopka czy w zoškę. Wspólnie przynosili z Wilanówki wodę do prania, po kolei, rodzicom każdego z nich. Skubali gęsi, a potem wspólnie wypełniali pierzem poduszki i pościel. Raczili się zdobytymi z trudem batonikami manila i ganiali za kolejką z piaskiem.

Mirek i Andrzej pomagali Agnieszce znajdować rośliny, do zielników, które dziewczęta przygotowywać musiały w szkole. Ona z kolei razem z nimi wozila koszyki z wikliny pod Halę Mirowską, gdzie sprzedawały je matki chłopców.

Tak jak wszyscy na Siekierkach, chodzili myć się do szkoły, bo mało kto miał prawdziwą łazienkę w domu. A co sobotę szli do Grzelców, obejrzeć telewizję. Albo do kina, które co tydzień zjawiało się w świetlicy. Widzieli tam „W samo południe” i „Casablancę”. I inne filmy.

We troje jeździli na jednym rowerze, złożonym z części znalezionych i zespawanych przez tatę Agnieszki. W tajemnicy przed rodzicami zapuszczali się na forty, gdzie znaleźć można było niewypały z czasów wojny. Potem wrzucali je do ogniska, padali błyskawicznie na ziemię i drżeli, słysząc głośne wybuchy.

Każdy sekret któregośkolwiek z nich natychmiast stawał się sekretem pozostałej dwójki. Byli dla siebie bliżsi niż własne rodzeństwo i niejednokrotnie składali wspólne obietnice: cokolwiek by się nie wydarzyło, nigdy się nie rozstaną. Rzeczywiście, tak było.

Do czasu aż troje muszkieterów poróżniło się o dziewczynę.

Uroda dorastającej muszkietierki coraz bardziej rzucała się w oczy. Agnieszka była smukła i wysoka, o długich, zgrabnych nogach. Jej kręcone włosy opadały w nieładzie na ramiona, co przydawało dziewczynie zbójckiego uroku. Równoważyły to jednak wielkie zielone oczy, skryte pod długimi, gęstymi rzęsami. Oczy damy. Prawie z dnia na dzień chłopcy z okolicy zaczęli ją zaczepiać i oto troje muszkietierów coraz częściej wdawało się w bójki. Lecz i na nich zadziałał w końcu czar towarzyski. Pierwszym, który mu się poddał był Andrzej.

Bawili się w bitwę i cały dzień biegali po starych okopach i górkach fortu, wymachując imitującymi szable kijami. Odbywali bolesne dla ramion i palców pojedynki i wygłaszali dumne hasła honoru i czci wielkich rycerzy. Agnieszka naturalnie nie zaakceptowała roli bezbronnej niewiasty i dzielnie wtórowała im w bojach. Do czasu aż mały Stasio z Polskiej wbił Mikołajowi z Bartyckiej czubek włóczni w plecy.

Wykonana z pieńka świątecznej choinki broń okazała się zbyt ostra. Mały Mikołaj, syn taksówkarza, nic z początku nie poczuł, ale kiedy tylko pomacał plecy, zaraz wrzasnął i się rozpłakał.

„Mama mnie zabije!” krzychał przerażony, nie zważając na lecącą z pleców, cienką stróżkę krwi. „Nowa kurtka! Będziesz mi odkupywał kurtkę, Stasiu!”

Staś z początku zbladł, widząc wystający z pleców kolegi grot, ale zanim wszyscy się zbiegli zdołał odzyskać rezon.

„Włócznie mi zepsułeś. Cały rok będę czekał na nową!”

Spór przerwali starsi. I rozsądniejsi. Agata z Nadrzecznej zaraz zajęła się rannym, sprawnie wyciągając drzewce i własną chustką bandażując ranę. Wszyscy wiedzieli, że chce zostać lekarzem, więc nikt nie kwestionował jej poczynań. Nawet Mikołaj wydawał się dziwnie spokojny. Pozostali odciągnęli Stasia. Tłumaczyli mu, że to nienajlepszy moment na kłótnie o poniszczone zabawki, ale ten argument nie wydawał się chłopcu zbyt przekonujący.

Ktokolwiek z boku spojrzełby wtedy na tę bandę, z pewnością nie miałby z tych oględzin dobrego wrażenia. Wszyscy byli podrapani i wszyscy byli brudni. Każdy miał we włosach piach, a na twarzy ślady błota. O ubraniach nie warto nawet wspominać. I oto jeszcze urządzili sobie tam, na łące, szpital polowy.

Nadchodził zmrok. Zabawę trzeba było kończyć, opatrywanie także. Mirek, jak to on, natychmiast zaoferował się, że ruszy na czele ekspedycji, która odprowadzi Mikołaja do domu. I wyjaśni jego rodzicom tragiczny wypadek przebicia kurtki. Stasio, zgodnie z



zaleceniami świeżo obranego lidera, powinien iść z nimi, przyjmując najżałośniejszą ze skruszonych min. Reszta miała rozejść się do domów.

Kiedy każdy ruszał już w swoją stronę, Andrzej zatrzymał się.

„Agnieszka”, zawołał. Nie zwrócił uwagi, że na to imię odwróciły się aż dwie osoby. Choć nosiła je tylko jedna.

„Tak?”

„Chodź ze mną jeszcze na spacer. Odprowadzę cię potem.”

Dziewczyna zgodziła się bez wahania. Nawet nie przyszło jej do głowy, że będzie to pierwszy raz, gdy dwoje z tercetu muszkietarów robi coś bez udziału trzeciego.

Kiedy odchodzili, Mirek wciąż im się przyglądał. Mimo że poganił go niemal wszyscy z honorowej eskorty Mikołaja. Milczał, nawet kiedy ktoś go szturchnął. Patrzył za nimi, dopóki Andrzej i Agnieszka nie zniknęli za zakrętem.

Na drugi dzień wieczorem w świetlicy miała być zabawa. Od samego rana dzieciaki spotykały się po domach, przygotowywać ciasta, sałatki i inne przekąski. Troje muszkietarów miało podobny plan.

Mirek specjalnie poszedł do Andrzeja wcześniej. Czekał na niego, kiedy tamten wychodził z domu..

„Co tu robisz, Mirek?”, spytał Andrzej. Wydawał się zaskoczony. „Gdzie Agnieszka?”

Na drodze między działkami obu chłopców stała ta Agnieszka i idąc do siebie zawsze zabierali ją po drodze.

„Nie wiem. W domu pewnie.”

„Jak w domu? To idźmy po nią. Tylko poczekaj, powiem mamie”

„Chciałem pogadać z tobą.”

Andrzej zatrzymał się w pół kroku i kiwnął głową. Zaczynał już rozumieć o co chodzi. Nie tylko jemu się podobała.

„No to pogadajmy”, powiedział.

Pogadali. Z początku spokojnie, potem trochę krzyczeli, tak, że kury sąsiada poucikały do kurnika. A na końcu znowu spokojnie.

Wreszcie obiecali sobie, że troje muszkietarów się nie rozpadnie. Agnieszka owszem, jest świetną dziewczyną, ale to przecież nie jej wina, że im się podoba. Przyjaźń całej trójki nie powinna na tym cierpieć.

Nie było mowy, żeby któryś postanowił oddać ją drugiemu, jak w „Casablance”. Ten film nie był aż tak dobry. Dlatego zgodzili się, że żaden nie będzie do niej uderzał. Andrzej przestanie, a Mirek nie będzie nawet próbował.

Przypieczętowali to słowem honoru i męskim uściskiem dłoni.

Godzinę później Andrzej jechał już do miasta, na róg Marszałkowskiej i Wilczej. Zamierzał kupić tam muzyczną pocztówkę, w prezencie dla Agnieszki. W tym samym czasie Mirek planował, że po zabawie zabierze ją do domu nad rzeką i tam rzuci wyzwanie: kto wejdzie do środka. Spodziewał się, że wygra.. Jego nagrodą miał być pocałunek.

Zabawa zaczęła się jeszcze za dnia. Stoły, na których zwykle grano w szachy zestawiono i przykryto obrusem. Na nim zaś znajdowały się smakołyki. Krzesła wylądowały pod ścianą, przy regałach pełnych książek. Nikt nie przychodził tutaj, żeby siedzieć.

Najpierw wszyscy złapali się za ręce i tańczyli w kółku do muzyki z radia. To była jednak tylko rozgrzewka. Później uaktywnili się ci, którzy grali na instrumentach i ich orkiestra zastąpiła stary głośnik.

Dziewczęta wyglądały wspaniale, a chłopcy dostojnie. Pożyczyli ubrania od rodziców, a niektóre z panien same szyły sobie części garderoby, specjalnie na takie okazje.

Agnieszka bawiła się wspaniale. A to śmiała się z koleżankami, a to lądowała na parkiecie, wciąż proszona przez chłopców wpatrzonych w nią jak w dzieło sztuki. Zgadzała się z uśmiechem, ale nikomu nie dawała nadziei, w porę wyrrywając się z objęć adoratorów.

Tylko Andrzej i Mirek nie poprosili jej do tańca. I żaden nie zrobił tego tylko i wyłącznie z powodu obecności drugiego. Z początku obaj brali udział w zabawie, ale kiedy chór głosów wymusił na orkiestrze, by grała utwory mniej skoczne, a bardziej sprzyjające spokojnemu „bujananiu się” w parach, jeden i drugi wylądowali pod ścianą.

Stali tam, gawędząc cicho. Udawali, że wszystko jest jak dawniej. A jednak każdy mówił automatycznie, od niechcienia, skoncentrowany na jednej prostej myśli: jak zdobyć Agnieszkę i nie stracić przyjaciela.

Gdy tempo imprezy trochę zwolniło, Mirek urwał się na chwilę od Andrzeja i ruszył w stronę przyjaciółki. Plan czekał na realizację. W korytarzu pod kurtką miał już gotową lampę karbidową, którą zabrał z domu.

Dziewczyna schodziła akurat z parkietu, dysząc lekko.

„Tańczysz, Mirek?” spytała go, widząc, że zmierza w przeciwną stronę.

„Może innym razem. Prawdę mówiąc, chciałem ci coś pokazać”.

„Co takiego?”

„Niespodzianka.”, powiedział, uśmiechając się tajemniczo. „Chodź”.

„Dobra. Zawołam tylko Andrzeja”, stwierdziła i ruszyła przed siebie, nie czekając nawet na jego odpowiedź. Mirka z początku zatkało, ale potem uznał, że to bez znaczenia. Zakład to zakład, a Mirek na pewno przestraszy się i zaraz wróci do domu.

Pięć minut później szli we trójkę przez noc, oświetlając sobie drogę światłem białym i zimnym jak błysk pioruna.

Dom ten był dziwny i ciemny. Zdawało się, jakby wyrastał wprost z moczarów. Szyby w niedomkniętych oknach pokrywała gruba warstwa kurzu widoczna nawet w mroku, a firanki w środku dawno już zszarzały. Deski, zupełnie poczerniałe, odchodziły w wielu miejscach od elewacji i nikt nie próbował ich naprawiać. Podobnie jak dachu, w którym dziury były tak wielkie, że dało się przez nie dostrzec strych. Nad tym obrazem zaniedbania i niepamięci górował zżarty przez rdzę wiatrowskaz. Miał on kształt skrzydeł motyla lub może anioła, w bladym świetle księżyca nie dało się tego powiedzieć na pewno.

„Wygląda jeszcze gorzej niż wtedy”, powiedział Andrzej. „Jakby miał się zawalić”.

„Albo jakby chowali tam trupy”, dorzuciła Agnieszka. „Po co tu przyszliśmy?”

Jak gdyby na potwierdzenie tych słów, wiatrowskaz jęknął cicho.

Mirek wzruszył ramionami.

„Założę się, że w środku nic nie ma. Pamiętacie nasz zakład?” Obrócił się w stronę przyjaciół. Często go sobie wypominali, ale żadne z nich nie wydawało się przekonane.

„Idziecie? Agnieszka?”

Dziewczyna nie odpowiedziała.

„Andrzej? Tak myślałem”.

„Skoro nikogo tu nie ma, to czemu nikt tego nie wziął, nie zamieszkał?”

Mirek poczuł rosnący w nim gniew.

„Bo to ruina!”, prawie wrzasnął. „Agnieszka, to był twój zakład, pamiętasz?”

„Daj spokój. To było siedem lat temu .”

„Tchórz” krzyknął na nią i nie zastanawiając się nad tym co robi, ruszył w stronę uchylonego okna.

„Jest odważny”, stwierdził cicho Andrzej, kiedy zostali sami. Agnieszka spojrzała na niego, uśmiechając się łagodnie.

„On się popisuje. Zawsze chce być najszybszy, najodważniejszy”.

Kiwnął głową.

„Zwykle jest”.

„Tak. Tylko po co?”

„Nie rozumiem”.

„Zawsze chce być ze wszystkich najlepszy, ale z nie jakiegoś konkretnego powodu. Jakby chodziło mu tylko o to. Wygrać z innymi... No i zawsze spodziewa się pochwał i nagród, że z tego powodu zaraz dostanie, co tylko zechce.”

Andrzej spojrzał na nią i kiedy raz już to zrobił, nie mógł oderwać wzroku. Widywał ją codziennie od kiedy skończył pięć lat, zawsze była dla niego tak naturalna i zwykła jak błękit nieba albo zieleń trawy. Teraz jednak gapił się, jak gdyby zobaczył ją po raz pierwszy.

Był to widok wspaniały.

„...Albo kogo tylko zechce”, dokończyła.

Kiwnął głową, nie rozumiejąc ani słowa. Wolał nie odzywać się, w obawie, że powie coś głupiego. Bo przecież nie słuchał jej uważnie, tylko chłonał ją wzrokiem. Czuł już nawet wychodzący na policzki rumieniec.

„Kogo tylko zechce?”, spytał zaskoczony, pojmując nagle sens słów dziewczyny.

Mirek poczuł, że się mylił, gdy tylko jego oczy przyzwyczyły się do panujących w środku ciemności. Dom nie był opuszczony. Okna może i zostały otwarte, ale nie przez wiatr ani korniki, które wyjadły ramy.

W środku wyglądało jak w muzeum. Wszystko było zakurzone i stare, ale przede wszystkim było tego bardzo dużo. Mirek wszedł by zobaczyć te cuda.

W centrum pokoju stał wielki bujany fotel z wikliny, obok niego dębowy stolik z białym obrusem, a przy ścianie masywna szafka. Na szafce stała dziwna metalowa skrzynka z przymocowanymi słuchawkami. Radio kryształkowe. Przeszkłone biblioteczki wcale nie były wypchane książkami. Więcej miejsca zdawały się zajmować liczne stare pamiątki: zdezelowane buty, komplet haceli, krowi dzwonek. Leżały tam też zdjęcia. Nie czarnobiałe, ich barwy były cieplejsze – żółtawo-brązowe.

„Kim jesteś?”, spytał nagle głos zza pleców chłopca. Mirek poczuł jak wszystkie włosy na jego głowie, ale też i te malutkie, na plecach i rękach stają dęba.

„Kim jesteś?”, ponowił głos, a po nim z mroku domu wyłonił się mężczyzna o przeoranej zmarszczkami twarzy. Jego zgarbione plecy wyglądały, jakby ugiwały się pod ciężarem trosk i smutków. Szedł jednak pewnie i właśnie ten chód zdradzał, że mimo wieku wciąż ma w sobie wiele siły. Spojrzał na Mirka wodnisto-niebieskimi oczami.

„Mirek”, szepnął chłopiec, czując że się poci. „Mam na imię Mirek”.

„Jestem Jakub”, odparło widmo, który kiedyś było aniołem Siekierki. „Czego szukasz w moim domu?”

„Nie...” Chciał powiedzieć *nie wiem*, ale w porę zdał sobie sprawę z głupoty jaką by popełnił. Jakub wpatrywał się w niego, więc czasu pozostawało niewiele. Mirek rzucił pierwsze, co przyszło mu do głowy. „Zagadki”.

„Jakiej zagadki?”

„Ponoć w tym domu mieszka duch”, wymusnęło się chłopcu. I jeszcze zanim skończył zdanie, już tego żałował.

Starzec kiwnął głową i uśmiechnął się tak smutno jak niektórzy nie potrafią nawet płakać.

„Chodź, pokażę ci zagadkę”, rzekł i ruszył w stronę fotela, na którym stał gliniany dzban z wodą. Usiadł i wskazał ręką na stołeczek obok. Chcąc nie chcąc chłopiec ruszył w jego stronę.

„Co to za sekret?”

„Nic nie mów. Spójrz tylko”, szepnął anioł powolnym ruchem przewracając dzban.

Mirek westchnął.

Woda z naczynia nie rozlała się na obrus, tylko przybrała dziwny, stały kształt.

A potem ożyła.

Z tafla wyłonił się anioł o twarzy tak doskonałej jakby wykuta była ręką rzeźbiarza. Anioł ten malował na płótnie obraz, lecz nieuwaga sprawiła, że paleta wypadła mu z rąk. Woda nie miała barw, a jednak opowiadała historię z takim szczegółem i detalem, że kiedy ukazały się w niej Siekierki, Mirek natychmiast zrozumiał, że wyłaniają się właśnie z kolorów tamtej palety.

Zaraz potem znowu pojawił się anioł, a obok niego maleńka dziewczynka. Anioł wyglądał zupełnie tak samo, nie miał już jednak skrzydeł. Wokół z kałuży wody zaczęły wyłaniać się krowy, domy i ludzie. Jeden rzut oka wystarczał, by dostrzec spokój i

szczęście tych malutkich postaci. Dziewczynka rosła w oczach i w kilka mrugnięć okiem stała się kobietą. A potem tafla zaczęła się trząść.

Wyłaniające się z wody domy zaczęły się rozpadać, rozpryskiwać, jakby ktoś rzucał w nie malutkimi kamyczkami. A potem kolejne figurki stawały się coraz większe, ale już nie były wesołe.

Jakiś starszy człowiek z wąsem, który upada na ziemię, gdy inni w mundurach przychodzą i biją go. Inny, za ogrodzeniem z drutu, jeszcze inny, biegnący na czołg jedynie z butelką. I ta dziewczyna z samego początku. Jej ciało, dryfujące twarzą w dół na Wilanówce, w miejscu, gdzie teraz była grobla.

Mirek usłyszał cichy głos za plecami.

„Pewnych rzeczy nikt nie zatrzyma. Pewnych rzeczy nie.”

Gdyby się odwrócił, dostrzegłby łzy.

Oto nagle tafla wody znowu zmieniła kształt. Pojawił się bujany fotel, dokładnie ten, na którym siedział teraz Jakub. A w tle... Siekierki. Lata wojny i późniejsze zmieniały je, a anioł zaczął się nagle starzeć, coraz szybciej i szybciej. I gdy tło na nowo stało się radosne, on już nie. Wreszcie, ostatnim co ukazała kałuża był starzec i chłopiec przy stoliku. Wpatrywali się w wyrastające na nim kształty.

A na zewnątrz, na zewnątrz dwie postaci o kształtach tak wyraźnych, że nie sposób było pomylić ich z nikim innym stały bardzo mocno przytulone do siebie. Jedna całowała drugą.

Mirek gapił się na to z otwartymi ustami, a potem wstał gwałtownie i pobiegł w stronę okna.

Pomarszczony i złamany Jakub został. Woda przemieniła się znowu. Powróciła do momentu, w którym dziewczynka dorastała, a pastuch o twarzy anioła strzegł jej i służył radą.

Jakub wpatrywał się w ten obraz bardzo, bardzo długo.

Andrzej się nie bronił. Stał obok Agnieszki, oboje tak stali i patrzyli na nadchodzącego Mirka tak, jak gdyby przez te kilka minut stali się dorośli, a jego wściekłość i żal były tylko kaprysami rozwydrzonego bachora. Pchnął Andrzeja z całej siły, aż ten przewrócił się w trawę. Kiedy chłopak już leżał, Mirek rozpędził się i kopnął go. Zrobił to tylko raz. Zamachnął się znowu, ale zamiast uderzyć, odwrócił się i odbiegł w stronę fortów.

„No i koniec”, powiedział Andrzej. Podnosząc się stęknął cicho. Agnieszka podała mu rękę.

„Koniec?” spytała.

„Z muszkieterami”.

Zaśmiała się.

„Przesadzasz. Przecież nie kłócimy się pierwszy raz”.

Andrzej spojrział na nią, ale nic nie powiedział.

„Co to by była z przyjaźń, gdyby zakończył ją jeden pocałunek?”, dodała, z przekonaniem.

Potem spadł deszcz.

Biegli przez Siekierki, zakrywając głowy kurtką Andrzeja. Mimo to, pod domem Agnieszki byli już cali mokrzy. Gdy się żegnali, Andrzej dał jej wreszcie prezent, który nosił ze sobą od rana. Dźwiękową pocztówkę. Nic nie powiedział. Nie miał pojęcia, co się mówi, a nie chciał wszystkiego zepsuć. Zmienił więc temat.

„Pogadamy z nim jutro, dobrze?”

„Dobrze”.

Ale następnego dnia Mirek nie przyszedł do szkoły.

Do późnego wieczora chodził po fortach, moknąc na deszczu. W tych rzadkich momentach, kiedy woda zalewała mu twarz dość gęsto, Mirek pozwalał sobie na kilka łez. Nigdy by się jednak do nich nie przyznał.

Potem wyjął malutki nożyk, który miał ze sobą i grzebał w poszukiwaniu niewypałów. Zebrał całkiem sporą kupkę. Miał wiele szczęścia, że żaden z nich nie wybuchł mu w dłoniach. Kiedy pogoda zaczęła się poprawiać znalazł kilka suchych jeszcze gałązek i podpalił je. W ognisko wrzucił wszystkie wykopane ładunki i patrzył jak wybuchają, rozrzucając na boki kawałki gorącej stali. Znów miał szczęście. Żaden z odłamków go nie zranił.

Gdy nad ranem wracał do domu, czuł się fatalnie. Natychmiast poszedł spać. Obudził się po południu, a wtedy było jeszcze gorzej. Miał gorączkę. Matka nic nie powiedziała na to, że nie poszedł do szkoły, wezwała tylko lekarza.

Mirek miał zapalenie płuc.

Z początku Agnieszka i Andrzej odwiedzali go codziennie. Mirek witał ich pełnymi wyrzutu spojrzeniami i milczeniem, przerywanym jedynie cichym kasłaniem. Matka przynosiła herbatę i ciasto, a przyjaciele pałaszowali je w ciszy.

Nauczyciele przychodzili do chorego po zajęciach, tłumaczyć lekcje. Muszkieterowie także, ale coraz rzadziej. Robili to z lojalności i w nadziei na pojednanie. Przynosili notatki, próbowali opowiadać o nowościach z okolicy. Niewiele jednak z tego wychodziło i wkrótce przestali.

Po powrocie do zdrowia Mirek nadal przewodził dzieciakom z podwórka. Nadal wymyślał zabawy i jako pierwszy wpadł na pomysł, żeby ścigać się na rowerach z kolejką. Jeździć za nią do Góry Kalwarii, tam wypijać oranżadę w kawiarni, a później wracać, znów ścigając skład. I choć w końcu zaczął z nimi rozmawiać, nigdy sam z siebie nie zapraszał do tych zabaw Agnieszki i Andrzeja.

Kiedy byli w liceum, jeszcze się widywali, choć uczęszczali do innych szkół. Mówili sobie „cześć” i niewiele więcej. Byli tacy, którzy twierdzili, że Mirek specjalnie nie poszedł do Batorego, bo tam właśnie znaleźli się jego dawni druhowie. Inni utrzymywali, że się po prostu nie dostał, ale z tych opowieści, jednych i drugich trudno było wyłowić prawdę.

Potem chłopców powołano do wojska. Co do Andrzeja, to pisał do Agnieszki codziennie. W tych listach obiecywał jej, że kiedy wróci, pobiorą się. Słał także kartki do domu i do przyjaciół – czarnobiałe zdjęcia nieładnego miasteczka obok którego stacjonowali. Zapewniał, że dobrze ich karmią, a on sam jest zdrowy. Jeśli chodzi o Mirka, to przez dwa lata nikt, nawet matka, nie wiedzieli, co się z nim dzieje. Na żadną z przepustek nie przyjechał na Siekierki.

Kiedy ich rocznik skończył służbę, trojga muszkieterów już nie było. I by tak się stało naprawdę wystarczył tylko jeden pocałunek.

Do ołtarza poprowadził Agnieszkę jej ojciec, Mateusz. Na ślubie zebrały się prawie całe Siekierki, a kiedy państwo młodzi opuszczali kościół gołębiarze z okolicy puścili w niebo setkę białych jak śnieg ptaków. Na wesele pojechali czarną warszawą, która na co dzień służyła za taksówkę. Miało to być wspaniałe wesele.

Za samochodem poszedł pieszo tłum przyjaciół i znajomych. Rozmawiali i żartowali, śmiali się. Było tam tak wielu ludzi, że przechodzień mógłby pomyśleć, że to idzie procesja na boże ciało. Byli tam też Mirek i Jakub.

Obaj uśmiechnięci i spokojni. Obaj pogodzeni.